

Na Gochach

Cześć! Jestem Paulina. Mam 11 lat. Lubię śpiewać, czytać książki, kocham małe kotki, ale najbardziej w świecie uwielbiam poznawać nowe miejsca.

- Wycieczki klasowe? - uwielbiam je!
- Wypady za miasto z rodzicami? - to coś dla mnie!
- Piesze wędrówki po leśnych ścieżkach - jestem gotowa!

Już w trzeciej klasie postanowiłam, że jak dorosnę, to zostanę przewodnikiem i pilotem wycieczek. Chcę pokazywać innym, jaki nasz świat jest ciekawy i wspaniały. Poznałam już wiele fantastycznych miejsc i przeżyłam kilka wyjątkowych przygód. O jednej z nich chcę wam dzisiaj opowiedzieć!



W zeszłym roku rodzice postanowili, że początek wakacji spędzimy nad kaszubskimi jeziorami. Pojechalśmy całą rodziną, czyli moi rodzice, ja i mój młodszy brat Krzyś, na Gochy.

Teraz pewnie się zastanawiacie, co to są **Gochy**?! Już wam tłumaczę! Jest to region na Kaszubach leżący w gminie Lipnica, w powiecie bytowskim. Na tych terenach jest dużo lasów i jezior. Ziemie tam są bardzo piaszczyste, ale mimo

to jest też wiele łąk i uprawnych pól. Na Gochach często gospodarze mieszkają na tzw. **pustkach**. Stawiają domy blisko swoich ziem, ale daleko od większych wiosek. W takim właśnie gospodarstwie spędziliśmy cały tydzień. Nasz domek znajdował się w środku lasu. Nie mieliśmy internetu ani telewizji! Za to po ogrodzie biegały kury i skakały króliki. Na zakupy, do najbliższego sklepu, musieliśmy jeździć polnymi drogami prawie 10 kilometrów.

- Cały tydzień bez internetu i nie zwariowałam tam?! - zapytacie

Oczywiście, że nie! Miałam mnóstwo zajęć i nie zdążyłam nawet otworzyć mojej nowej książki. Przeżyłam też pewną magiczną przygodę i teraz chcę wam ją opowiedzieć...

W domku na Gochach znalazłam mapę okolicy. Przystudiowałam ją i trzeciego dnia urlopu postanowiłam namówić rodziców na pieszą wycieczkę. Naszym celem był działający jeszcze stary młyn, w miejscowości Hamer-Młyn.

Bez problemu tam dotarliśmy, zrywając po drodze przepyszne jagody. Obok młyna płynęła rzeczka. Usiedliśmy na brzegu, aby odpocząć. Mapę odłożyłam na trawę. Gdy już chcieliśmy wracać do domu, odkryłam, że mapa zginęła!

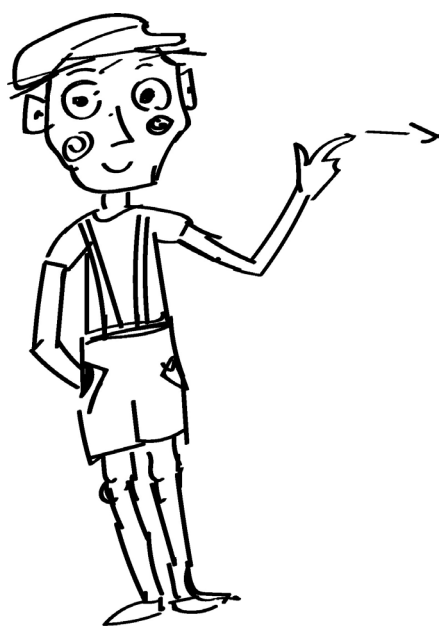
- To pewnie Krzysiu się nią bawił, a potem ją zgubił! - zaczęłam oskarżać brata.



- To nie ja! - bronił się Krzysiu
- I co teraz? Jak wrócimy do domu? Nie mamy mapy ani telefonów z nawigacją - spałnikował tata.
- Ja wam pomogę! - usłyszeliśmy cichy i piskliwy głos. Zwróciliśmy się w jego stronę i zobaczyliśmy małego chłopca, który wyglądał jak... Pinokio!

Przedstawił się jako Chojnowy Marcin. Wytłumaczył, że mieszka tu od wielu lat. Miał kiedyś tatusia, który go wyrzeźbił, ale teraz jest już sam i pomaga ludziom w pobliskim tartaku. Podejrzał, że naszą mapę skradły psotne kraśnięta. Kazał nam znaleźć w lesie Borową Ciotkę, która poradzi, w jaki sposób mamy wydostać się z tego lasu. My jednak nie mogliśmy ruszyć się z miejsca. Staliśmy jak wryci!

- Mały, drewniany i w dodatku gadający chłopiec? Ktoś chyba z nas żartuje! - myśleliśmy.



Chòjnowi Mòrcèn

A jednak nie! To nie były żarty!

Znaleźliśmy Borową Ciotkę. Kazała nam ukryć się w drewnianym kościele we wsi Borzyszkowy.

W drodze do wioski towarzyszył nam Chojnowy Marcin. Byliśmy zmęczeni i trochę przestraszeni. Słońce mocno grzało, ale ochładzał nas przyjemny wiatr.

- To Szymich. Zjawa, która sprowadza z lasu delikatny podmuch. Pewnie Borowa Ciotka mu poleciła, by nam przyniósł trochę wytchnienia w ten upalny dzień - wytłumaczył drewniany chłopiec.

Dzięki niemu zrobiło się przyjemniej. Przez chwilę poczułam się bardzo radosna. Zaczęłam nawet zrywać kwiaty, które rosły na przydrożnych polach.

- Nie dotykaj tych kwiatów. W polu może ukrywać się Żytia Baba. Jest bardzo niebezpiecznym stworem! - zareagował Chojnowy Marcin.

W tym momencie tata zauważył, że coś się rusza w życie. Przerażeni zaczęliśmy uciekać. Biegliśmy tak długo, aż dotarliśmy do wsi Borzyszkowy. Tam ukryliśmy się w drewnianym kościele pw. św. Marcina.

We wnętrzu uspokoiiliśmy się i zaczęliśmy podziwiać wystrój. Tata zachwycił się architekturą tej świątyni. Zwrócił uwagę na łączenia belek nazywane „jaskółczym ogonem”. Mama oglądała rzeźbioną ambonę.

Zauważyła, że nad nią zawieszony jest baldachim, a na nim umieszczono herby tujejszych rodów. Na szczęście miałam przy sobie aparat fotograficzny i zrobiłam kilka zdjęć. Teraz możemy zbadać, do kogo one należą. Ja i Krzys podziwialiśmy inne rzeźby. Najbardziej spodobała nam się pieta. Jest to rzeźba przedstawiająca Matkę Boską trzymającą na kolanach martwego Jezusa. Ta z kościoła w Borzyszkowach jest wyjątkowa. Maria dłonie unosi do góry, do Boga. Jest to gest modlitwy. A Jezus jest taki



Szëmich

malutki, jak dzieciątko. W książkach piety wyglądają zupełnie inaczej. Są smutne i widać na nich dużo cierpienia. Tutaj Matka Jezusa wydaje się spokojna, a może nawet delikatnie się uśmiecha.

Oglądając wewnątrz kościoła zapomnieliśmy o naszym strachu i o kaszubskich stworach. Chojnowego Marcina też już już nie było. Pewnie wyszedł ukradkiem i wrócił do swojego lasu.

Później zastanawialiśmy się, czy nasza przygoda naprawdę się wydarzyła?! Próbowałam rozwikłać tę zagadkę oglądając zdjęcia. Na jednym z nich zauważyłam czerwoną czapkę i małą rączkę trzymającą moją mapę!

Teraz wiem już na pewno, że Kaszuby są magiczne i kryją w sobie wiele tajemnic.

